



**PIÓRO METATRONA**  
**COPERNICONOWY**  
**KONKURS**  
**LITERACKI**  
**TORUŃ 2017**

**Laureaci**

1 miejsce – Agnieszka Biskup – Zabawa dla dwojga .....	2
2 miejsce – Ewa Raniowska – Sprawa Siostry kontra Kryształ .....	4
3 miejsce – Rafał Imielski – Klątwa .....	7

**Wyróżnienia**

Ewa Raniowska – Lochy i fochy .....	10
Izabela Palińska – Trzydziesta tajemnica bolesna .....	13
Rafał Imielski – Driada .....	16
Natalia Lewandowska – To show biznes .....	18
Bartosz Orlewski – Demon .....	21
Maciej Sznurkowski – Walet kier .....	24
Krzysztof Baranowski – Pragnienie .....	26

## Agnieszka Biskup – Zabawa dla dwojga

Na starość dziadek zupełnie oszalał, mówili. Zmienił się w dziecko. Zatoczył pełne koło i znowu trzeba go karmić, myć, pieluchy zmieniać. Okropność, taki koniec. Gada od rzeczy, czasem woła matkę. Matuś, jęczy, chroniłem jak kazałaś, a teraz uwarz mi spokojną śmierć. Potem bredzi o istotach z cienia, o krwiożerczych ludkach mieszkających za kuchennymi szafkami, o drzewach co zaglądają w okna i rzucają uroki. O krwi i świetle mających moc zmieniania substancji. Trajkocze i trajkocze, jak na złość bez przerwy. Słowa płyną z jego ust jak wstęga dymu, roztrząskują się o sufit i przepadają. Nikt ich nie zapamiętuje z szacunku do dziadka bo to poważny człowiek, profesor z wykształcenia, a na łożu śmierci zadaje kłam wszystkiemu co za życia wyznawał. Nauce. Rozsądkowi. Logice. Boli ten widok, mówią i odwracają głowy.

Pajac wołał by dziadek żył dalej, ale z jego zdaniem nikt się nie liczy, Śmierć tym bardziej. Po pogrzebie była stypa, po stypie testament. Wedle dziadkowej woli Pajacowi przypadła biblioteczka. Opasłe zaprószone kurzem tomiszczą. Zbiorcze PRL-owskie wydania klasyków. Tolstoj. Conrad. Prus. Pajac wziął je z sentymentu. Przez dobry miesiąc stały w pudłach w korytarzu nim w przyptywie wspomnień, pochylił się nad nimi dumając ileż nocy dziadek spędził w ich cichym towarzystwie. Wziął do ręki pierwszą lepszą powieść, zaczął wertować pożółkłe kartki. Dziwne, pomyślał zerkając na obwolutę. Żeromski Stefan, Ludzie bezdomni. Tyle, że zawartość nijak nie pasowała do okładki. Rzędy drobnej czcionki rozdzielały schematy i ryciny o tajemniczej proveniencji. Inne strony wypełniały w całości szalbiercze zawile symbole. Cuchnęło siłą nieczystą. Pajac sięgnął po następną książkę i jeszcze jedną. Wszystkie okładki były jedynie fasadami dla całkiem odmiennej treści. Mrocznej. Sekretnej. Wtedy pojął przerażającą prawdę, że wtedy, przed śmiercią, dziadek wcale nie majaczył.

Z początku Pajac nie miał złych zamiarów. Oczarował go ten intymny świat papieru i tuszu. Wodził palcami po skomplikowanych wzorach to pełnących ku górze kartki jak pnące bluszczu, to rozrastających na boki jak sagan, do którego ktoś wrzucił pęk skoltunionej włóczki. Symbole zaskakiwały karkołomną drobiazgowością. Każdy zawijas, uskok, postawiona niby przypadkiem kreska czy kropka, wszystko to składało się na pełną kompozycję. W rozdziale „o zapomnianych sztukach magicznych” Pajac wyczytał, że nie tylko sigil jest niezbędny, ale także katalizator, który powoła go do życia. A ową moc przewodzenia magii miały jedynie krew i światłość.

Przy pierwszych niezdarnych próbach używał krwi. Tak testował choćby pierzastą runę lekkości. Nabazgrał ją własną juchą na stalowym froncie lodówki i po chwili unosił ją jedną ręką nawet się przy tym nie pocąc. Świat nagle nabrał kolorów, poszerzył swoją objętość. Pajac wpadł w obsesję zgłębiania dziadkowej schedy. Przerabiał systematycznie runy przywołania, transformacji, umysłu, życia i wreszcie śmierci. Ostatnie dwie brał pod warsztat na zmianę, to uśmiercając, to ożywiając kota sąsiadów. Zdziwaczał po tym ten kot.

Czarowanie przychodziło Pajacowi lekko, choć nadal brakowało mu rozmachu. Zgodnie z zasadą zachowania energii drobne zaklęcia wymagały niewielkich nakładów, ot, naparstka krwi. Na duże potrzebna była wiadra. I tu był diabeł pogrzebany. Gdy Pajac zapragnął poszerzyć skalę działalności, sięgnął po drugi budulec zaklęć, czyli światło. Szybko się zorientował, że jest to wygodniejsze. Malował sigile pędzlem umoczone w benzynie albo cyzelował je z cierpliwością buddyjskiego mnicha usypując zawile strużki saletry.

I tu w naszą opowieść wkracza Anita. Pierwszy wielkoformatowy projekt Pajaca nosił roboczą nazwę „latająca świnia”. Wyrzucił gigantyczny znak lewitacji na dachu ubojni świń. Podpalił. Ogień uwolnił zakłęcie i wtedy chrupkające wierzgające szynki wzbily się w powietrze. Poleciały jak balony wypełnione helem, tyle, że całkiem niedaleko, bo zahamował je dach z blachy falistej. Wywijały korkociągi, podniebne ewolucje, odbijały się od belek stropowych i od siebie nawzajem jak boje dryfujące na wodzie. I tyle. Po spektaklu. Obyło się bez efektu pląsających między obłokami prosiaków, a szkoda. Właśnie wtedy wezwano Anitę, eksperta od spraw niewyjaśnionych i Pajac zrozumiał, że takich jak on - świadomych, jest więcej. Orzą sę i tacy, którzy stoją na straży normalności. Jak Anita. Jego Anita, polująca na plugawców parających się magią.

Ona Pajaca goniła, on uciekał, taka odwieczna zabawa dla dwojga. A im mocniej Anita chciała go dorwać, tym staranniej Pajac zabiegał o jej uwagę. Sięgał po coraz to śmielsze, bardziej dewastujące formuły. A dzisiaj miał ją rzucić na kolana. Dzisiaj ona dostrzeże jego geniusz, oniemiaje, dech jej zaprze i odda jemu, Pajacowi, zwycięstwo w tej sztafecie.

Przechadzał się po placu przed betonowym kolosem domu studenckiego „Uciecha” i wypatrywał czarnego płaszcza pani komisarz. Młodzi ludzie tłumnie wyroili się na powietrze, uzbrojeni w kocyki, marace, dmuchane baseny, boomboxy, grille, skwierzcząc na rożnach walcówkę, piwo i jeszcze więcej piwa. Pajaca otaczały śmiechy i lekka, jakże nieadekwatna do tego, co miało nadejść muzyka.

Służbowy samochód Anity podjechał na parking. Doskonale wyczuł czas, pomyślał. Tyle się napracował. Przygotował plakaty, rozwieszał je nachalnie na wszystkich piętrach akademika. Wchodził do każdego ze dwustu pokoi, cierpliwie wykladał lokatorom ideę happeningu. Punkt dwunasta część mieszkańców gasi światła, część je zapala. Maleńkie piksele okien ułożą się w coś niesamowitego, w napis lub kształt, serduszko, uśmiechniętą buźkę, wyprężonego kutasa, whatever. Co to będzie? Niespodzianka. Zobaczę w swoim czasie. Jak i całe miasto, które będzie podziwiał to czym wielki wieżowiec, największy w okolicy, rozbłyśnie pośród nocy. Studenci będą świętować artystyczne wydarzenie na placu przed akademikiem, pojawi się nawet telewizja.

Za minutę północ. Anita przebiega wzrokiem po świętującym tłumie, dostrzega Pajaca. Rzucił niedopałek w trawę i już ma się zerwać do biegu, gdy staje jak wryta. Robi się jakoś ciemniej, jak przy zaćmieniu słońca. Wszystkie okna w piętrzącym się ponad jej głowę wieżowcu gasną jak na komendę. A potem zapalają się powoli. Rozproszone. Pojedyncze. Rozbrzmiewają pierwsze nieśmiałe brawa. Wszyscy oczekują z zapartym tchem w jaki kształt oblecze się światło, ale nic sensownego się nie pojawia. Tylko jakiś bohomas. Koślawa litera, która nie jest literą.

Ale Anita rozumie i nakrywa dłonią usta. Rozpoznaje w znaku gigantyczny sygil i wie, że światłość setek żarówek nasącza go właśnie mocą sprawczą. Cały świat się dowie.

Budynek zaczyna drżeć w posadach. Ludzie piszczą i pierzchają na boki. Myślą zapewne, że to trzęsienie ziemi. Z wyższych partii budynku odpadają kawałki tynku, sypią się fragmenty parapetów. A potem wszystko ustaje. Budynek migocze jeszcze kilka razy, jakby oświetlony łuną stroboskopu i znika bezpowrotnie. Anita podchodzi do gigantycznego dymiącego wykrotu w gołej ziemi. Tam w dole nie ma nic, nawet śladu fundamentów. Wie, że dom studencki „Uciecha” nie wyparował, po prostu przeniesiono w inny wymiar. Ale jaki?

Taniec godowy odtańczony, myśli Pajac, czas na jej ruch.

## Ewa Raniowska – Sprawa Siostry kontra Kryształ

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie!

Perr von Dracula, przewodniczący Sądu Siódmego Niższego Okręgu, skrzywił się i zwrócił ponury wzrok na prokuratora. Było południe, bolała go głowa, a przepaska na oczach niewiele mu w tym wszystkim pomagała. Jego wyczulony słuch, wzmocniony chwilowym brakiem wzroku, zdecydowanie nie przyjął pozytywnie takiej ilości decybeli.

"Te czterdzieści lat temu powinienem jednak być podpisać propozycję odsunięcia banshee od zawodów prawniczych..." pomyślał niechętnie, choć na głos rzucił jedynie:

- Panie radco, albo przestanie pan wydzierać się, albo wywalę pana za drzwi i spotkamy się jutro. To moje ostatnie ostrzeżenie, skoro pięć poprzednich nie pomogło.

- Ale...!

- Postanowiłem!

Zapadła cisza, choć wrażliwy słuch Perrego wyłuskał niezbyt dobrze ukryty chichot obrońcy. Nie przepadał za tą kobietą.

- Pani adwokat, chciałaby pani coś powiedzieć?

- Tak, Wysoki Sądzie – mecenas wypowiedziała się bez większego zajęknęcia, a jej głos kołował jego nerwy. Nie był pewien czy bardziej nienawidził skrzyków banshee czy złudnej melodii rusałki. - Chciałabym ponownie wnieść o sprowadzenie pani Pyłek, by mogła zeznawać. Jesteśmy na finiszu, radcy brak argumentów, a te zeznania zdecydowanie rzuciłyby nowe światło na całą sprawę.

- Jak już mówiłem, Wysoki Sądzie, sprzeciw. - Tym razem banshee, ten... jak mu tam było?, Teagan McIntosh, starał się mówić tak cicho, jak tylko się dało. A gdy to robił jego głos był przyjemnie chropowaty.

Perr to docenił.

- Na jakiej podstawie?

- Pani Pyłek jest w zakładzie zamkniętym, a jej terapia nie może zostać przerwana. Detoks eliksirów odmładzających.

- Wysoki Sądzie, pan radca zapomniał wspomnieć, że osobom przebywającym na detoksie rzeczony detoks nie zajmuje całego dnia. Zeznania pani Pyłek wyraźnie wskażą na to, że moja klientka, Dobra Siostra, nie działa z pobudek rasistowskich. Pani Pyłek wychowywała ją, czuwała nad nią od kołyski i oczywistym jest, że ten pozew...

- To czysta próba manipulacji prawami międzyrasowymi, Wysoki Sądzie. Wróżki są o wiele bardziej podatne na uzależnienie od eliksirów i trudniej jest je z nich wyleczyć. Każde opuszczenie zakładu może się dla niej źle skończyć. Najwyraźniej powódce to nie przeszkadza.

Bliżej nieokreślone chlupanie dobiegło od strony byłej księżniczki i Perr westchnął. Było mu szkoda dziewczyny, ale cóż mógł poradzić? Pozwanej też mu było szkoda

- Proszę strony o spokój. Sprzeciw zostaje przyjęty, pani Pyłek zostanie w zakładzie. Jednakże!  
- podniósł głos, wyczuwając nerwowość Nadziei Kurysowej, adwokat. - Dopuszczam zeznania powódki co do jej uczuć wobec rasy wrózek ze względu na charakter. Pani Kryształ nie przekłębaby w ten sposób złej osoby, co mówi samo za siebie. W związku z powyższym oddalam wniosek o skierowanie sprawy do Sądu Najwyższego pod pretekstem szerzenia nienawiści. Proszę strony o mowę zwieńczającą proces, bym mógł jeszcze raz zastanowić się nad waszymi argumentami, nim podejmę decyzję. Pani Kurysowa, proszę zacząć.

Uzbroił się w cierpliwość i z utęsknieniem zerknął w bliżej nieokreślonym kierunku lodówki z woreczkami z krwią. Poprzedniego wieczora udało mu się dostać świeżą elfią i na samą myśl o tym czuł, jak śwędzą go kły.

Zwłaszcza, że od strony obrony dochodził do niego smakowity, wilgotny zapach... Perr przeknął ślinę i poluźnił nieco kołnierzyk.

- Wysoki Sądzie, moja klientka jest oczywistą ofiarą pani Kryształ, która, jak wiemy z zeznań wielu świadków, rozdaje klątwy i zaklęcia bez zgody osób trzecich, co jest pogwałceniem Kodeksu Honorowego, artykułu ósmego, punktu trzeciego, który mówi...

- Znam prawo, pani mecenas - przerwał jej i pokręcił głową. Nie znosił jej głównie za ten protekcyjny ton. Dziewucha ledwo co skończyła studia, a już chciała go pouczać. - Kodeks Honorowy dopuszcza spontaniczne obdarowywania, jak pani dobrze wie, więc proszę nie kręcić.

- Tak, nie dopuszcza tego jednak ustawa o Ochronie Gatunku Ludzkiego Niemagicznego, na który się powołujemy. Moja klientka spotkała panią Kryształ w lesie, była dla niej uprzejma i w zamian nie może mówić, bo z każdym słowem z jej ust padają diamenty oraz szlachetne kamienie, które kaleczą jej usta. Ponad to ma wybite trzy zęby i poranione dłonie. Jej małżeństwo upadło, ponieważ w trakcie stosunku intymnego otwierając usta posłała ostry kawałek diamentu wprost w oko Miłościwie Panującego i oślepiła go. Została trzykrotnie porwana dla zysku, przestępcy widzą w niej maszynkę do produkowania bogactwa. Na dodatek wciąż ściga ją Urząd Skarbowy, który wymaga niebotycznych podatków od wzbogacenia i toczą się przeciwko niej cztery sprawy o ukrywanie zarobków. A moja klientka po prostu nie pamięta ile wyprodukowała, bo robi to nawet przez sen. Dlatego wnosimy o ukaranie pani Kryształ, by stanowiła precedens w nadużywaniu mocy wrózek. Żądamy odszkodowania w wysokości pięciuset skrzyni złota pierwszej próby, a także sfinansowania oduraczania przed Najwyższą Matką.

- Wysoki Sądzie, to oburzające! - McIntosh zachłysnął się, gdy zdał sobie sprawę z wysokości swojego tonu. - Przepraszam, już ściszę głos. Jak mówiłem, moja klientka nie ma tyłu pieniędzy. Pani Kryształ jest Dobrą Wrózką, swoje bogactwa rozdaje ludziom i jest znana ze swojej działalności charytatywnej. Już samo oduraczanie by ją zrujnowało - finansowo i karierowo. Skierowanie sprawy do Najwyższej Matki to koniec dla każdej Wróżki Chrzestnej, Wysoki Sądzie. Prosimy o ulaskawienie. Nie mogła przewidzieć konsekwencji swoich działań, jej zachowaniem nie kierował zły zamiar. Małżeństwo Dobrej Siostry i tak było bliskie końca z powodu niewierności Miłościwie Panującego, ślepotą była jedynie pretekstem, ponieważ Łzy Czystej Księżniczki uratowały jego wzrok. Nie jest również winą pani Kryształ, że Dobra Siostra unika Urzędów Skarbowych i kryje przed nimi wszystkie swoje bogactwa. Prosimy jedynie o wyrozumiałość.

Perr skinął głową i westchnął. Nienawidził takich spraw. Zdecydowanie wolał, gdy ktoś kogoś zabił lub oszukał. Albo porwał. Jak stary, dobry Tuteliturę.

- Dobrze, dziękuję państwu. Jestem gotów wydać wyrok. - Wróżka ostro wciągnęła powietrze i był to jeden z pierwszych dźwięków, jakie wydała od chwili przesłuchania. Starsza kobieta była prawdopodobnie śmiertelnie przerażona, że skończy w Przytułku Zapomnianych Baśni - bez pracy i bez pieniędzy. - Uznaję pozwaną za niewinną i w całości oddalam żądania powódki. - Gdy usłyszał ostre szuranie krzesła mecenas, uniósł dłoń. - To był nieszczęśliwy splot wydarzeń, pani Kurysowa. Pani Kryształ chciała dobrze, a Dobra Siostra wzbogaciła się dzięki niej. Stać ją zarówno na spłacenie długów w Urzędzie, jak i na oduraczanie. A jeśli chodzi o małżeństwo to zdecydowanie będzie jej lepiej bez Miłościwie Panującego, który już w tej chwili pojął trzecią księżniczkę za żonę. Radzę, Dobra Siostro, zacznij cieszyć się z tego, co otrzymałaś i co posiadasz, zamiast rujnować kobietę, która chciała dobrze. Jednakże, pani Kryształ, nakładam na panią magiczny zakaz rozdawania uroków i klątw na pół roku. W tym czasie dostanie pani opiekę Konwentu Wrózek. Tak postanowiłem.

Uderzył dłonią w stół i ignorując całe towarzystwo poszedł w końcu zjeść obiad.

Jeszcze chwila i zjadłby McIntosha, bo skubaniec pachniał zbyt smakowicie, by można to było zignorować.

## Rafał Imielski – Klątwa

– Pani złociutka, podejź, klątwę rzucę. Na niewiernego małżonka może, na sąsiadkę wredną...

– Idź precz, starucho przebrzydła. – Młoda kobieta okryła twarz apaszką, jakby chciała osłonić się przed smrodem.

Złorzeczyła kilka chwil, poprawiła wyświechtaną tiarę i babciny fartuch. Westchnęła też dla uspokojenia i splunęła gęstą śliną. Wyszczrzyła się w szczerbatym uśmiechu do eleganckiego jegomościa, ale nie zdążyła się odezwać, a powiedział z odrazą:

– Masz, babo, i spieprzaj.

Rzucił w nią garścią miedziaków jak w jakiegoś żebraka.

Już chciała wycedzić kilka słów klątwy, ale ostatecznie się powstrzymała. Ostatnim razem ktoś nasłał na nią Państwową Inspekcję Czaroklectwa, dzielnicowego Janusza, skarbowkę, bo nie miała kasy fiskalnej, przedstawicielei ZAiKS, bo podobno bez opłaty tantiem nie wolno nucić klątw w miejscach publicznych i sanepid, bo do mikstur wrzucała ogonki szczurów, języki żab i muchy Mówili, że to grozi chorobami, pasożytami... Na fekalia wszystkich dzików w okolicy! A o co innego chodziło w klątwach i miksturach, jeśli nie o wywołanie gorączki i sraczki?

– Jaga, a pozwolenie to jest? – Usłyszała tuż przy uchu.

Krew w niej zawrzała. Doskonale znała ten głos. Rozdygotała się na całym ciele, policzyła wszystkie muchy w mieszk, ot tak, dla ochłonięcia, raz jeszcze odetchnęła głębiej i odwróciła się z przymilnym uśmiechem.

– Jakie pozwolonko, złociutki ty mój? – zaszcebiotała słodziutko do, a jakże, dzielnicowego Janusza. – Ja nie sprawiam problemów, nie rzucam klątw, jeśli nie chcę, kochanieńki. Biznes słabo się kręci, oj słabo...

– Twój biznes, Jaga, to mnie akurat mało obchodzi. Nowe przepisy weszły, trzeba mieć pozwolenie na handel klątwami, certyfikaty odpowiednie – oznajmił rzeczowo, szykując się do wypisania mandatu, zadowolony z siebie jak nigdy.

– A skąd ja to mam niby wiedzieć, co? – odwarknęła wściekle, zapluwając się przy tym śliną. – Ciągle tylko jakieś przepisy, ustawy, pozwolenia! Ile można!

– Nie wiem, Jaga. Internetu nie masz? Telewizora? Teraz to wszyscy mają, z internetów kupują – mruknął, kręcąc pobłaźliwie głową. – Może tam se sprzedawaj te swoje „czary mary”. Mandacik będzie, stówka do zapłaty.

– Janusz, ty pało niebieska! – ryknęła wiedźma, nadąwszy obwisłe poliki. – Z czego ja ci, szumowino, zapłacę! W kupę łajna cię zamienię, knurze parchaty!

Ten dzień nie skończył się dla Jagi zbyt dobrze. Nie dość, że dostała mandat za brak pozwolenia na sprzedaż klątw w miejscu publicznym, to jeszcze dostała kolejny blankiet za obrażanie funkcjonariusza w czasie służby i wezwanie do sądu za próbę pobicia oraz rzucenia klątwy na urzędnika państwowego. Do tego musiała oddać fartuch do prania, bo w drodze powrotnej do jej lepianki, jakiś samochód wjechał w kałużę, oblewając ją wodą. Była niemal pewna, że to radiowóz. Psia jucha. I z czego ona to zapłaci, co? Może... może mogła jednak wyciągnąć z tego jakąś lekcję.

Telewizora nie miała, ale ludzie robili te, no, kafeje internetowe, czy jakoś tak. Przeznaczyła na to wszystkie drobniaki, co to je miała w kieszeni. Za sześć złotych miała całe dwie godziny na, jak to powiedział właściciel, buszowanie w internecie. Ciekawe. Miała trochę problemów z okiełznaniem maszyny, ale jakaś ruda cizia trochę jej potłumaczyła. Powoli, jednym palcem mogła wpisywać w przeglądarkę interesujące ją zagadnienia. Przejrzała kilka stron, aż natrafiła na soczyste wylewanie łajna w komentarzach, gdzie znalazła link do forum „Nowoczesne Wiedźmy – jak nie urok to sraczka”.

Zachęcona nazwą, zalogowała się na stronie. Nie czytała regulaminu, bo nie widziała takiej potrzeby. Była ponad wszelkie zasady, dość obostrzeń nałożyli na nią na ryneczku i w mieście w ogóle. Przeglądała kolejne tematy, pokrzepiona nieco tym, że inne czarownice, wiedźmy czy Baby Jagi miały podobne problemy do niej. Łączyła się z nimi w tej cichej solidarności, potakując czasem głową i mrużąc z aprobatą. W dzisiejszych czasach ludzi nie interesowały już typowe mikstury czy klątwy. Wszyscy chcieli tego samego: bogactwa i miłości. I tak jak z magicznymi tabletkami na chudnięcie bez efektu jojo, tak na szmal oraz uczucie nie istniały żadne magiczne specyfiki. Inaczej ludzie byliby nie dość, że szczupli, to jeszcze bogaci i szczęśliwie zakochani.

Im dalej, tym działało się gorzej. Przewijała kolejne tematy: „Mój stary to fanatyk czarno-księstwa”, „ropóhy powodujom ałtyzm”, „Opary z kociołków robią chemtrails!!!111!”, „Zielona kópka czy ktoś oklątnął mi Brajana????”, przy tym ostatnim była zde gustowana liczbą zamieszczonych fotografii oraz opisem konsystencji niemowlęcych fekaliiów i ich smaku.



Świat stanął na głowie. Kiedyś do takich obrzydliwych ludzi zmuszało się najokrutniejszymi czarami, a teraz robili to z własnej woli? Szok i niedowierzenie. Na szczęście znalazła się jedna osoba, która zapytała, czy matka ma jeszcze rozum i godność człowieka. Jaga, zalogowana na swym koncie, „Jagusieńka\_PL”, przyznała temu komentarzowi serduszko.

Kliknęła też w migający baner z napisem „Urzednicy jej nienawidzą! Odkryła prosty sposób na omińnięcie przepisów dotyczących handlu miksturami [ZOBACZ JAK]”, ale okazało się, że trzeba za tę wiedzę zapłacić, a nie dość, że nie miała pieniędzy, to płatności internetowe były jej obce.

Z internetowego forum dowiedziała się jednak, że na portalu aukcyjnym, żeby handlować, nie trzeba mieć pozwolenia, a certyfikat mógł wydrukować każdy głupi z internetu. A Jaga głupia nie była, oj nie! Znalazła nawet krótki poradnik, który bardzo ją ucieszył – wiedziała już, że powinna wybrać chwytliwą nazwę. Najlepiej, żeby dobrze się kojarzyła i brzmiała odpowiednio mistycznie. Na przykład „wróżka Salomea” albo coś w podobnym guście. Była zdziwiona, ale na wspomnianym serwisie faktycznie znalazła nawet zaklęte przedmioty, oferty wróżenia z kart tarota, całe hurtownie mikstur oraz różnego rodzaju klątwy. Od zaklęcia na wysypkę czy sraczkę, przez zamianę w ropuchę, na łuszczycy i trądzie skończywszy.

Po powrocie na forum ponownie zagłębiła się w omawiane tam tematy. Tym razem poszerzyła swe umiejętności o korzystanie z „szukajki”, do której, w jednym z tematów, odsyłał moderator dyskusji. Dzięki temu mogła przeglądać posty, które ją interesowały, odsiewając tematy o odchudzających sokach z włosia bobra i dyskusjach na temat tego, czy to moralnie akceptowalne, żeby zabijać muchy na eliksiry i czy da się je zastąpić bardziej humanitarnymi składnikami.

Rozumiała, w jak wielu z tych historii widziała siebie. Przeczytała ogrom świadectw biednych, gnębionych przez policję oraz urzędy kobiet, które, co dawało jej nadzieję, poradziły sobie z chorymi, wymierzonymi w nie przepisami. Szczególnie zainteresował ją jeden z postów, w którym wysnuto teorię, jakoby rząd opłacał swoje wiedźmy i czarnoksiężników, żeby zniszczyć drobne przedsiębiorstwa starych, schorowanych babuleniek. To naprawdę miało sens!

Więcej nie potrzebowała, była już przekonana, że rząd ukrywa przed nimi Jedyną Słuszną Prawdę. Jak dobrze, że znalazła to wspaniałe miejsce. Powinna przeprosić Janusza. Teraz wiedziała, że ktoś z obecnej partii rządzącej mógł rzucić na nią klątwę. Na szczęście doskonale знаła sposoby, by z tym walczyć.

– Proszę pani? Skończył się pani czas.

## Ewa Raniowska – Lochy i fochy

Księżniczka potrzebuje smoka, rzecz oczywista. Smok jest równie niezbędnym elementem na drodze do Szczęśliwego Zakończenia, jak nieszczęśliwe dzieciństwo, antagonistka, klątwa bądź wypadek i książę. Ani mniej ważny, ani bardziej. Jednak był nie do zastąpienia, każdy głupi to wiedział.

Jedyny problem w tym, że smoka od jakichś ośmiuset lat nikt nie widział.

Talia Alii, dwukrotna zdobywczyni nagrody Nobla w dziedzinie fizyki i chemii, głupia nie była. Choć, patrząc jak skacze wokół nendroanotechnicznego szkieletu wielkiej jaszczurki, można byłoby poddać tę opinię pod dyskusję. Zwłaszcza, gdy było się jej człowiekiem od zaplecza chemicznego.

- Także... - zaczęła niepewnie Lennie Farah, poprawiając okulary, które zsuwały jej się z nosa.  
- Chcesz, żebym dokładnie przyjrzała się związkom, które w połączeniu z powietrzem zmieniają się w ogień, tak? Tym wszystkim kilku tysiącom? Do jutra?

- Dokładnie - przytaknęła noblistka, balansując na konstrukcji z tysiąca cienkich drucików wzmocnionych lekkimi, wodoodpornymi i twardymi niczym diament kryształkami LF-75, za odkrycie których Talii przyznano pierwszego Nobla. - Chodzi mi o efekt! Jak rozdziawi paszczę ma się łąć strumień ognia!

- A nie możesz po prostu... no, pstryknąć palcem?

Drugiego Nobla Talia dostała za odkrycie istnienia kieszeni międzywymiarowych, z których można zaczerpnąć energię i przenieść ją do świata właściwego, gdzie można nią kierować w dowolny sposób, jeśli ma się odpowiednio silną wolę i wyobraźnię.

Mówiąc prościej - odkryła magię.

- Oczywiście, że nie. Księżniczka nigdy sama nie jest tym złym. Już sam fakt, że konstruuje tego smoka nadweręża moje potencjalne szanse na Długo i Szczęśliwie. Zresztą, pamiętaj, że będziesz musiała wziąć naprawdę duży ładunek, żeby ta gadzina była łaskawa ruszyć dupsko. Zostawię notatki uwzględniające odpowiednią masę materii i jej rozkład na szkielet na biurku, pod kubkiem. Tym czystszy.

- Powtórz mi, proszę, dlaczego ja?

Talia spojrzała ze znużeniem w dół i po raz kolejny Lennie zastanowiła się, czy nie bez powodu noblistka sądziła, że jej przeznaczeniem jest zostać księżniczką. Z długimi, złotymi włosami, ślicznie zadartym nosem, wielkimi oczami o kolorze nieba i figurą supermodelki, mogłaby bez problemu wbić się w bufiastą kieckę i wyglądać, jakby urwała się z Disneya.

- Ponieważ jesteś moim idealnym wrogiem. Mój projekt został wybrany przez Komisję, nie twój. Zawsze z tobą wygrywałam, nawet w sierocińcu dostawałam lepsze ubrania, niż ty. Masz pełne prawo chcieć mnie zniszczyć. Więc, jak prawdziwa Antagonistka, wykorzystasz moje dokonania i twórz, by zwrócić je przeciwko mnie! Smok mnie uwięzi, zgodnie z oprogramowaniem, ja będę cierpieć katusze samotności w lochu, a potem...

- Przybędzie twój książę, tak, tak. - Lennie westchnęła i poprawiła spódnicę, która na jej szerokich udach wiecznie podjeżdżała w górę. Nie było istotne ile razy wspominała Talii, że absolutnie nie ma jej za złe ani ciuchów, ani tego Nobla - jak tamta się na coś uwzięła, to nie było mocnych. - Wzięłaś pod uwagę, że tym księciem może się okazać cały oddział SWAT, któremu smok będzie zawadzał w utrzymywaniu porządku publicznego? Jak rozpoznasz, który z nich jest księciem? Czy książęta w ogóle aplikują do oddziałów specjalnych?

- Od kiedy po ulicach biegają dzieciaki z rogami, a większość karabinów strzela zaczarowanymi pociskami, jestem pewna, że wszyscy rozpoznają we mnie prawdziwą księżniczkę. I wyślą księcia. Możesz im zasugerować tego z Fiji, podoba mi się jego klata.

Z tymi słowami Talia docisnęła kilka ostatnich elementów paszczęki monstrualnego smoka i zsunęła się w dół, podziwiając swoje dzieło. Lennie, z kolei, podziwiała ją.

Potrzeba było ledwie kilku miesięcy, by Talia zbudowała w pełni gotową do poruszania i siania zamętu bestię. To był czysty geniusz, nawet jeśli nie wszystkie klepki miał tam, gdzie trzeba.

W najwyższym apartamentowcu miasta, w najwyższym położonym pokoju w wieży, przyszła księżniczka uśmiechnęła się z zadowoleniem, patrząc na to, co rozgrywało się za oknem. Ludzie pierzchali w panice przed smokiem siedzącym na dachu i rzygającym raz po raz potężnym ogniem.

Lennie wykonała kawał dobrej roboty. Ogień wyglądał przerażająco i choć była trochę zła, że wcisnęła zbyt mało materii w skrzydła, przez co smok był Nielotny, to i tak odgrywał swoją rolę pierwszorzędnie.

- A teraz... ratunku, ratunku - szepnęła, chichocząc i wyciągając rękę za okno, by ować ją gorącym ognia.

W chwili, gdy Talia odkryła przy pomocy własnoręcznie zbudowanego jektowizora kieszonki czasoprzestrzenne pełne energii proszącej się o użycie, dotarła do niej prawda o wszystkich podaniach i legendach. Te kieszenie były tam, na wyciągnięcie ręki, potrzeba było odpowiednich ruchów i słów, by móc do nich sięgnąć i choć ona miała do pomocy najlepszą, najnowszą technologię, kiedyś ludzie widzieli i rozumieli więcej. Co oznaczało, że magia nie była nowa dla tego świata.

A skoro Talia dała światu magię - magię dostępną dla większej części ludzkości - świat był jej coś winien. Tym czymś było spektakularne Długo i Szczęśliwie. Jej własne, szczęśliwe zakończenie.

W pierwszym tygodniu apartamentowiec, na którego szczycie stał przerażający smok, oblegał kordon policji i sprowadzono specjalny, uskrzydłony oddział, by zaatakował bestię. Gdy tylko ustalono, że ogień jest bezpieczny dla zdrowia, a sama bestia przy bliższym spotkaniu jest wyraźnie zautomatyzowana, większa część policji została oddelegowana do spraw istotniejszych.

Po miesiącu smoka uznawano już za lokalną atrakcję, a panna samouwięziona w wieży została skazana na samą siebie. Zdaniem komendanta policji, nikt kto odtrąca pomoc oficerów, żądając księcia i mając za sobą otwarte drzwi na korytarz, nie zasługuje na ratunek przy użyciu wszystkich możliwych środków.

Pół roku później, Lennie wciągała porcję lodów z pudełka, słuchając wieczornych informacji o groźącym światu kryzysie energetycznym spowodowanym nadmiernym zużyciem materii elektrycznej, gdy drzwi do laboratorium otworzyły się z hukiem i przeszła przez nie Talia - nietypowo potargana, umorusana i kulejąca.

- O, patrzcie kogo przywitało - mruknęła i przeskoczyła do swojej skrzynki pocztowej, zupełnie przez przypadek ustawiając na cały ekran postanowienie Komisji o nominacji do kolejnego Nobla.

- Nikt się nie przejął - westchnęła i usiadła tuż obok Lennie, opierając głowę na jej ramieniu. - Tak jak mówiłaś. I gratulacje, widziałam.

Lody przeszły z rąk do rąk i po chwili Talia chlipała nieszczęśliwie, raz po raz oblizując łyżkę.

- Świat jest zbyt mocno zajęty magią, żeby przejmować się smokiem, który nie zabija.

- Wystarczyłoby przekalibrować matrycę i zmienić ustawienia parametrów.

Lennie roześmiała się i ucałowała Talię w czubek ślicznego nosa.

- Skoro nie zamierzasz w najbliższym czasie wychodzić za mąż i stawać się księżniczką Filipin...

- Fiji.

- ...tak, właśnie, to czy mogę znów wrócić do naszego domu? I zdjąć te wszystkie łańcuchy ze ścian? Zaczynam podejrzewać, że góra ma coś przeciwko mojemu materacowi w kącie.

Talia westchnęła ciężko i objęła ją, jednocześnie mamrocząc, że następnym razem całe miasto zarzuci krzewami ciernistych róży i dopiero wtedy zobaczą, jaka z niej jest dama w opresji.

## Izabela Palińska – Trzydziesta tajemnica bolesna

Tramwaj odjechał przy akompaniamencie nieustającego ostrzału deszczowej artylerii. Ulica opustoszała niemal całkowicie, ale bystre oczy Azariasza wyśledziły za woalem rzęsistej ulewy przygarbioną sylwetkę wysokiego mężczyzny w niedopasowanym, burgundowym płaszczu. Anioł zmrużył powieki, wyężając wzrok. Drżącymi z podenerwowania dłońmi wygrzebał zza pazuchy zdezelowanego ansibla w niemodnej już, jasnoniebieskiej obudowie. Do urządzenia doczepiona była tandetna zawieszka z kauczuku. Prezent od Barachiela, nagroda za dziesięć celnych strzałów z pistoletu kulkowego w wesołym miasteczku.

Azariasz zbliżył ansibla do ust, nie chcąc, by jego głos został zagłuszony przez szum ulewy.

- Na rogu Wrocławskiej i Podgórznej. Stoi, chyba na kogoś czeka. Nie przesadzaj z amunicją, to ziemskie miasto. Weź kurtkę przeciwdeszczową. - W urzędzeniu coś zarzęziło i anioł zaklął cicho pod nosem, pewien, że utracił łączność w najmniej odpowiednim momencie. Odczekał w napięciu kilka dłużących się sekund, bawiąc się bezwiednie zawieszka.

- Nie ruszaj się stamtąd - ansibl odkaszlnął wreszcie. - Bóg zstąpił na Ziemię.

Kąciki ust Azariasza drgnęły nieznacznie. Anioł schował gadżet do kieszeni i znów uniósł spojrzenie na mężczyznę stojącego po drugiej stronie ulicy.

Bruk zmieniał odcienie, łaskotany jesiennym deszczem.

\*

Naciągnęła kaptur na głowę i skoczyła przed siebie, zwinnie jak wychowany przez ulicę kot. Biegła po dachach, ledwo muskając ich powierzchnię podszwami butów. Szerokie rękawy za dużej kurtki łopotały niczym dwa żagle, aż w końcu jeden zaczepił się o antenę telewizyjną i kobieta straciła równowagę. Tłumiąc okrzyk zaskoczenia, ześlizgnęła się niezgrabnie po mokrych dachówkach.

- Szlag - syknęła; ból rozlał się po całym poturbowanym ciele. Odgarnęła splątane włosy z pobladłej twarzy i uniosła wzrok. Strzelista bryła ratusza wtapiała się w tło burego nieba niczym plama akwareli.

Anisbl w tylnej kieszeni spodni zawibrował po raz kolejny.

Bóg zganiła się w duchu. Ciągle zapominała, że nie potrzebuje żadnej technologii, żeby pozostać w łączności z aniołami.

- Jestem w pobliżu Starego Rynku - wyszeptła komunikat, stając pewnie na nogach. Ansibl uspokoił się. - Macie na niego oko?

Chwilę później usłyszała pomiędzy myślami przyciszony głos Azariasza:

- Oddaliłem się, żeby nie zaczął niczego podejrzewać. Uważaj na siebie.

- Jasna cholera, Az, nie traktuj mnie jak dziecko. Jestem Bogiem.

- To zwykła troska, Szefie.

- Serdecznie ci za nią dziękuję, Az. - Wąty uśmiech wykrzywił wargi kobiety. - Zaraz tam będę, zatrzymaj go, jeśli będzie trzeba.

Wzięła głęboki wdech i przeładowała swojego casulla. Długa, masywna lufa ciążyła przyjemnie w jej dłoniach.

\*

Kolejny tramwaj przetoczył się gładko po szynach, pomrukując z zadowoleniem. Juda raz po raz zerkał na zegarek; bliska obecność anioła nieco go dekoncentrowała. Ten skrzydlaty frajer naprawdę był przekonany, że go nie widać tylko dzięki przejrzystej zasłonie deszczu. Mężczyzna zamaskował chrząknięciem śmiech. Nie miał ochoty dłużej uciekać. Oczyma wyobraźni ujrzął samego siebie - zawsze z podkulonym ogonem, zawsze skamlącego. W żadnym zakątku wszechświata nie odnalazł schronienia, nie pomogło upozorowanie samobójstwa, ani łaskawa pomoc Samaela. Ten sam Bóg, który dzięki swoim specjalistom od wizerunku wypromował się na jędrnych hasłach o przebaczeniu, w obliczu osobistej zadry pozostawał zwykłym, ponurym mścicielem.

Juda westchnął. Zasapana szesnastka podjechała na przystanek, drzwi pojazdu otworzyły się w zachęcającym geście.

Niech będzie. Ucieknie jeszcze jeden raz.

\*

Kosztowało ją to sporo wysiłku, ale w kilku potężnych susach dogoniła pojazd. Jeszcze w biegu obnażyła casullę, wycelowała naprędce i bez większego zastanowienia nacisnęła spust. Skacząc po linach trakcyjnych, przedostała się na dach tramwaju. Zajrzała przez okno; pasażerowie zaalarmowani hukiem wystrzału rozglądali się dokoła, jednak Judy nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

- Do jasnej...

- Szeffie, za mostem. - Głos Azariasza rozbrzmiał naraz między boskimi myślami. - Uriel go złapał, zaraz tam będę.

- Dzięki. - Bóg raz jeszcze omiotła chłodnym spojrzeniem wnętrze pojazdu, po czym zeskoczyła zwinnie na bruk. Kałuża błota rozbryzgnęła się pod jej stopami, brudna ciecz upstrzyła nowe, sportowe buty.

Kobieta rzuciła się biegiem wzdłuż ulicy. Popędziła przez most, obijając się o przechodniów. Wkrótce dogonił ją zadyszany Azariasz, jego skrzydła trzepotały niezdrowo, słaba kondycja dawała się widocznie we znaki.

- Szeffie, Szeff pozwoli. - Anioł chwycił Boga za przegub lewej dłoni i pociągnął za sobą w stronę najbliższej ulicznej bramy. Oboje przystanęli naraz w biegu, słysząc rozdzierający krzyk. Bóg zmarszczyła brzydko brwi i przyspieszyła kroku. Wychynęła zza rogu uliczki akurat w chwili, gdy Uriel kończył przybijając drugi palec Judy do ściany kamienicy. Z każdym kolejnym ruchem młotka, garść tynku sypała się na zadbane włosy anioła, szary kurz przyprószył mu nos.

- Uriel, zostaw! - Bóg zahaczyła wzrokiem o wykrzywione w grymasie bólu usta Judy i zbliżyła się powoli do niego powoli. - No, Iskariota. - Jej wargi wygięły się w paskudnej parodii uśmiechu. - Czterdzieści pięć psów gończych patroluje właśnie galaktykę M63, kilkanaście komand przeczesuje Ramię Strzelca, a ty spędzasz wakacje na Ziemi?

- Jesteś taka infantrylna.

- Zemsta rodzica jest według ciebie infantrylna?

Juda przewrócił oczami mimo bólu.

- Czy ty w ogóle rozmawiasz z Jezuzem? - prychnął pogardliwie. - Uważasz, że właśnie tego od ciebie oczekuje?

- Jezua jest dobry i naiwny, nie sądzę, by czegokolwiek ode mnie oczekiwał.

- A ty jesteś beznadziejną matką i jeszcze gorszym ojcem. - Kilka chrzęszczących sylab wysypało się z ust Judy, zanim Bóg wsunęła zimną lufę casulla między jego obnażone w uśmiechu zęby.

- Mam dosyć twoich obelg, Iskariota. Dosyć aluzji Samaela, dosyć marudzenia Jezui. Odpuszczam winy dokładnie tak, jako i wszyscy odpuszczają swoim winowajcom. Wcale.

Huk wystrzału rozległ się dokładnie trzydzieści razy. Ciało Judy zawisło krzywo na przybitych wcześniej palcach. Bóg rozmasowała sobie skronie, cisnąwszy uprzednio casulla na bruk. Aniołowie spojrzeli po sobie wymownie. Po krótkiej chwili wahania, Azariasz wygrzebał z kieszeni ansibla i telefon.

- Szefie, nadaję do M63 komunikaty odwrotu i zamawiam ubera - oświadczył prostolinijnie.

- I dokąd chcesz niby jechać? - Głos Boga zadrżał pod wpływem tłumionego westchnienia. Azariasz wzruszył ramionami.

- Do jakiejś knajpy przy Rynku Łazarskim - odparł. - Trzeba cię podnieść z powrotem na nogi.

Wargi Boga zadrżały lekko.

- Amen.

## Rafał Imielski – Driada

Nie chcieli jej już dłużej.

Nie była zielona, jak wcześniej. Bardziej brunatnoszara, miejscami zgniłozielona. Jak ich *domy*. Jak je zwali? *Bloki? Wieżowce?* Takie zimne i brudne. Jak ona sama teraz... Nie woniała wiosennym wiatrem, nie jak świeży mech ani dzikie kwiaty. Pachniała martwą glebą i gnijącymi liśćmi, które i tak zdążyły już opaść lub wyrwali z niej siłą na lecznicze napary, zupy czy by suszyć jak zioła. Zeschnięte teraz gałązki również zabierali, pewno na słodkie wywary zalewane wrzątkiem. Zerwali kwiaty, by zdobić wiankami główki pacholąt. Zabierali wszystko, co miała. Zabierali ją całą. I zostawili zupełnie nagą. Czasem szyderczo łaskotali ją w nos tym, co z niej zerwali. Bawiły ich jej tzy, a te, a jakże, zbierali do dzbanuszków, do zraszania swych najślabszych nieudolnych plonów. Jakby w tej *betonowej* dżungli mogli panować nad naturą!

Nie rozumiała ani jednego ich słowa, ale wiedziała. Wiedziała, że nie jest już potrzebna. Nie przychodzili tak często jak wcześniej. Może ich *nauka* sprawiła, że mogli ją zastąpić? Czymś sztucznym, paskudnym, nienaturalnym. Może sprawdzali, czy cokolwiek się zmieniło? Jak miało się zmienić, kiedy trzymali ją tu, na dole, bez ciepłego słońca, i słodkiej, życiodajnej wody. Miała tylko ten ściek. Ledwie ułamaną rurkę – tak na *to* mówili? – w ścianie, toczącą zanieczyszczoną martwą ziemią i truchłami zwierząt ciecz, którą zwali, tfu, wodą. Było jej tak niewiele, że to, co czasem jej dawali, musiała zlizywać ze zmurzałej ściany.

Brzydziła się sobie, czując w wodzie odebrane zwierzynie życie. A jednak chęptała łapczywie każdą kroplę, ocierając język o szorstkie kamienie. Tak bardzo pragnęła przeżyć, by wyjść stąd i wrócić do domu. Skosztować wody z bystrego źródelka, dotknąć stopami puchatego mchu, zamiast zdzierającego skórę zimnego *betonu*. Chciała się ogrzać się w ciepłe słońca, siedząc na wiekowym drzewie, w które mogłaby wtulić się i zasnąć, otulona kołderką z łaskoczących liści.

Czasem marzyła o tym, by wrócić do Matki Ziemi, by wcisnąć się w jej bezpieczne objęcia, umrzeć i dać życie kolejnym roślinom. By cykl się dopełnił. By nastał jej koniec. Ale tkwiła tu, pozbawiona swych liści, bielutkich kwiatków. Usychała z każdym dniem, przeczesując ze smutkiem odbierane jej gałązki czy głaszcząc ostrożnie te liście, których nie zdążyli z niej wyrwać. Mogłaby też spłonąć i rozsypać się popiołem na wietrze, powędrować gdzieś daleko, gdzie nie było *miast*. Zobaczyć trochę świata, zieleni i innych kwiatów, o których opowiadali w legendach. Chciała zobaczyć ocean, chłodny i bezkresny. Czy za nim kończyła się Ziemia? Czy nie władał tam Czas?

Z rzadka, gdy było słonecznie, ogrzewała się w wiązce światła wdzierającej się do piwnicy przez niewielki wyłom u szczytu ściany. *Okienko*. Tak to nazywali. Przesuwała się za jasnością, goniąc ją na zimnym klepisku, by skosztować choć odrobinę łagodnego ciepła, choć strachem przepętniały ją dźwięki dziwnych zwierząt, którymi się poruszali. Nie wiedziała, jak to zwali, ale musiało być agresywne, skoro warczało głośniejsz niż wścickły wilk. Jak nad tym panowali? Jak okiełznali?

Również w porę deszczową sięgała ku dziurze, zwilżała palce, a potem zlizywała łapczywie przejrzyste kropelki. Czasem wydawały się jej słodsze niż miód, sycące bardziej niż woda ze źródelka. I zawsze dziękowała Matce Ziemi za te dary, za te chwile szczęścia w swym brudnym więzieniu, choć i ta woda nie wydawała się czysta. Była dziwnie kwaśna, ale nie jak szczaw,



czasem brudna w niecodzienny sposób, może zanieczyszczona pyłem jakiegoś dziwnego, spalonego drzewa, którego nie potrafiła nazwać.

Zerknęła w brudną kałużę wody, pewnie zdążyła nalecieć przez noc, kiedy sama drzemała niespokojnym snem. Już pochylała się, by zaczerpnąć łyk cieczy, kiedy zobaczyła swoje odbicie. Jasne, niebieskie oczy, przeszły chorobliwa szarość. Liściasta skóra na twarzy zaschła i kruszała, by w innych miejscach stać się błotnistą, gnijącą mazią. Nie dawała im plonów. Nie było soczystych liści, brakowało łez, a ostatnie gałązki, suche i słabe, były już ledwie rozpałką. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz się okwieciła. Kiedy dała życie. Była niczym toczona chorobą drzewo. Skazane na powolne gnicie. Fetor umierającego ciała dotarł do jej nozdrzy, wypełniając je wonią śmierci.

Zapłakała bez łez, dławiąc się niemym szlochem. Uderzyła patyczkowymi palcami w zimny, martwy *beton*. Kilka gałązek pękło z trzaskiem, ona sama zawyła w agonii. Oddychała stęchliwą, niemalże się dusząc. Jak mogli to kochać, jak mogli pożądać i w tym mieszkać? Nie rozumiała. Jakże to tak, pragnąc czegoś tak martwego, zimnego i nieczułego? Jak mogli oddychać tym dławiącym smrodem. I wszyscy gonili za tym, każdy chciał mieszkać w *mieście*, w *metropolii*. Każdy chciał stać na szczycie tej abominacji, którą dumnie nazwali *cywilizacją*. Westchnęła tęsknie, opadając z sił. Jeśli tak miała wyglądać cywilizacja... nie było dla nich nadziei.

Stuk, stuk, stuk.

Nasłuchiwała. Uniosła się na drżące kolana, by zastygnąć w kompletnym bezruchu.

Wreszcie przyszli, jak tamtego dnia.

Padła, ścięta niczym ostatnie drzewo w jej kochanym domu, wydając z siebie rozpaczliwy krzyk łamanych gałęzi. Czując stęchliwą wymieszaną z dławiącym odorem wydzierającym się z pysków ludzi, ostatni raz zatęskniła za domem. I zazieleniła się piwnica, gdy zimne ściany otulił mech. Drobne na początku gałązki wcisnęły się w szczeliny ścian, rosnąc i rozrywając je od środka.

Łapczywe witki sięgnęły po ich wiotkie ciała. Miażdżyły je, podlewając głodny mech krwią, połykając mięso i chłonąc ich krzyki. Spalinowe piły zamknęły się w ciasnych objęciach chciwych gałązek. Sufit się zapadł, wraz z nim mieszkańcy wyższych pięter ogromnego wieżowca. Na szczątkach wyrosły kwiaty tak piękne i wonne, że nie sposób się im oprzeć. I tak toksyczne, że nie sposób sobie wyobrazić.

## Natalia Lewandowska – To show biznes

Stanowili zdecydowanie najdziwniejszą grupę powitalną na dworcu. Wzrok przyciągała przede wszystkim brunetka. Błada, ubrana w profesjonalną czerń emanowała irytacją niczym kostucha czekająca na Ragnarok. Stojąca obok niej strzyga nerwowo skubała pazurami torbę z wystającym z niej mikrofonem, zerkając to na zegar, to na snujących się po toruńskim dworcu elfich ekologów zbierających datki. Dopelnieniem trójki był górujący nad nimi troll o zielonkawej skórze, z tępą miną żujący lizaka. Naszywka na jego kurtce głosiła: "WizjaTele, pomoc techniczna". Ktoś przylepił mu na czole kartkę z imieniem; "Helena Mińska".

Nie widzę jej. - prychnęła reporterka Marta Spiechta, zarzucając czarny warkocz na ramię.

Wściekła za marnotrawstwo czasu, obiecywała sobie rzetelną zemstę na szefie wytwórni, który odciągnął ją od wymarzonego wywiadu. Trójką miłosny syreny, sylfida i driady, jak często jest okazja by coś takiego nakręcić? Opuszczona przez większość ekipy i marznąca wraz z asystentką na wietrznym dworcu, nie była obrazem gościnności.

To przecież Gorynicza do parchatej zarazy, powinna być widoczna.

Połowę genów mam jednak po mamusi - wyszeptał ktoś nagle przy jej uchu. Dwie kobiety podskoczyły, odwracając się do przybysza.

Dziewczyna w niczym nie przypominała ich majestatycznego szefa. Wręcz przeciwnie, chuda jak szkap, z błędnym błyskiem w oku i zapadniętymi policzkami przypominała bezdomną. Łaty na przydużych ubraniach razily taką ilością pieczęci ochronnych, że magiczny makijaż strzygi zaczął się topić.

Helena Mińska?

Shh..! Nie tak głośno. - nastolatka rozejrzała się podejrzliwie - Śledzą mnie.

Marta już wiedziała, że ten dzień będzie jednym z najdłuższych w jej życiu.

\*\*\*

Twój ojciec - "ten łuskowaty drań" dodała w myślach Marta, maszerując szybko Bulwarem Fildelfijskim - wspomniał, że interesuje cię praca w telewizji.

Nie bardzo - ucięła Helena - Musiałam się tylko z tobą spotkać.

Po fiasko jakim było odebranie dziewczyny z toruńskiego dworca reporterka zaproponowała gościowi odwiezienie go do hotelu, ale ten nalegał na spotkanie w cztery oczy. Wdzięczna asystentka Marty prawie natychmiast zniknęła, trolla zostawiły tam gdzie stał, pewne że ktoś się nim zajmie.

Czyli jednak jesteś fanką? - zdziwiła się brunetka zerkając na ciemne chmury zbierające się nad jej głową.

Nie jestem. - Helena zatrzymała się pod osłoną Mostu Piłsudskiego, wyciągając z kieszeni kredę i prędko rysując ciąg zaklęć ochronnych na kamiennym filarze. - Tylko ty możesz mi pomóc.

Niby w czym?

Miałam wizję. Nadchodzi katastrofa. Chcę ocalić tatę i resztę mieszkańców.

Nie masz ty czasem paranoi? Coś ci się pomyliło.

Wcale nie!

Wcale tak! - zirytowała się brunetka - Twój ojciec wszystko mi wyjaśnił. Mieszkaś z babcią na wsi, on pracuje, marzy ci się wielki świat, a ostatnio wyskoczyłaś z pomysłem uniknięcia studiów i znalezienia jakiejś śmiercionośnej, ekscytującej posady. Mam cię od tego odwieźć jako przykładowy pracownik i figura autorytetu, tyle!

Zmyśliłam to! - piekliła się nastolatka - Wiedziałam, że muszę przygotować sobie wymówkę by cię odwiedzić! Musisz uratować Toruń!

Nic nie muszę. Od dziś to chyba nawet pracować - odwróciła się od niej brunetka - Nie pozwolę robić z siebie pośmiewiska. Idź, poskarż się tatusiowi. Zawsze zostaje mi platforma vlogowa jako opcja pracy.

To nie miało tak być! - zawyła Helena, z furią kończąca rysować pieczęć Metatrona na ścianie. Wszelkie ślady zaklęć zmyły się z sykiem, a ona ruszyła biegiem w kierunku brunetki.

Nie zdążyła dobiec.

Bulwarem wstrząsnął nagle potężny huk. Marta zachwiała się na szpilkach, a Helena padła jak długa na twarz. Obie obejrzały się na czarne chmury, zwijające się nad Starówką niczym tornado. Znikąd ulicami popędziła z ogromną prędkością fala ciemnej energii, dosłownie zmiatając Bramę Klasztorną z powierzchni ziemi. Marta chwyciła Helenę, a ochronne amulety dziewczyny stworzyły barierę na drodze morderczej siły. Kiedy strumień w końcu zniknął w Wiśle, odważyły się otworzyć oczy. Toruń nie wyglądał już jak dawniej.

Ludzie zniknęli. Nadkruszone budynki miasta tonęły w mroku. W powietrzu czuć było odór zgnilizny. W miejscu gdzie przed chwilą chmury sięgnęły ziemi teraz stał ktoś jeszcze.

Potężna sylwetka królowała nad miastem, lśniąc białkami gałek na tle czarnej jak noc skóry. potężne ramiona stwora wbiły się w bruk Starego Rynku, kiedy ten jak muchy zrzucał z nieba atakujące go gargulce. Błysk jego złowrogiego uśmiechu można było dostrzec nawet z bulwaru.

Darugr - wyszeptała bojaźliwie Helena, czując ciarki na plecach. Stwór z koszmarów i zapomnianych legend, duch źle pogrzebanego człowieka który nie potrafił odpuścić sobie świata żywych. Nie zdawała sobie sprawy, że mówi na głos.

Szlag, jednak trzeba było zająć się tematem tego nielegalnego cmentarza w piwnicy ratusza. - mruknęła Marta - Jak się go pozbyć?

Uciąć łeb. - wydukała Helena, widząc w oczach brunetki złowrogi błysk - W pojedynku jeden na jednego! - dorzuciła.

Stare dobre *decapita*. Zapamiętałam. A teraz uciekaj. Mam dziadka Ankou, jak znam moje szczęście to coś zaraz wyczuje moją energię i tyle będzie po tych twoich pieczęciach. Usmażą się jak staniemy z nim... twarzą w twarz.

Dokończyła Marta, łądując z jękiem na bruku Rynku Staromiejskiego. Darugr już pochylał się nad nimi, zaciekawiony. Ubranie Heleny niemal stanęło w ogniu od rozżarzonych pieczęci, więc rzuciła się w bok, zdejmując bluzkę przez głowę. Marta została sama twarzą w twarz z Monstrum.

Czas jakby zamarł w miejscu gdy mierzyli się wzrokiem. Darugr uśmiechnął się leniwie i pstryknął długimi palcami. Z nieba gwałtownie lunął deszcz, odciągając od niego uwagę gargulców i kompletnie przemaczając brunetkę.

Miejsce strachu powoli zajmowała pchana adrenaliną wściekłość.

\*\*\*

Co to było do jasnej...? - kichnęła Helena, strzepując śnieg z ubrań, wielkimi oczami przyglądając się Marcie. Kratki kanalizacyjne powoli chłonęły czarną posokę potwora, oczyszczając rynek. Chmury leniwie odlatywały z nad miasta, pozwalając słońcu rozgrzać zziębnięty bruk - Naprawdę jesteś Holdą?

Nagła burza śnieżna nie wystarczy za odpowiedź? - Kobieta z niesmakiem zmywała śniegiem krew z bluzki. - Kolejna do wyrzucenia...

Ale ty właśnie wyzwalaś na pojedynek samego Darugra! I wygrałaś! Nie wpadłabym na to, że można go zdekapitować ogromnym, zmrożonym plakatem wystawy muzealnej...

A widzisz? - ucieszyła się Marta – Na każdego jest sposób.

Zostaniesz bohaterką!

O nie, nie. Dziękuję bardzo, jeszcze tego mi potrzeba – ucięła jej entuzjazm brunetka, rozglądając się po okolicznych bramach. Po chwili uśmiechnęła się tryumfalnie i wyciągnęła z jednej przerażonego wampira.

Sulfus! Dawnośmy się nie widzieli. - otrzepała dygoczącą postać z kurzu

Nic nie widziałem! - pisnął – Hibernowałem!

W środku wiosny? - Helena mrugnęła do Marty, ale ta tylko pokręciła głową.

Nie kpij z bohatera. - uśmiechnęła się słodko – Ten tu obecny Sulfus Hart właśnie zabił Darugra.

Słucham?! - zawyli oboje.

Marta nie była przecież reporterką od wczoraj.

Teraz to Sulfus jest bohaterem. Bla Bla bla, pokonał potwora, opowie to w ekskluzywnym wywiadzie na moim kanale, a ja dostanę podwyżkę. Wszyscy happy?

Znowu? - jęknął wampir.

## Bartosz Orlewski – Demon

Kiedy Celise, moja ukochana, zorientowała się, że zostałem przywołany, natychmiast obdarzyła mnie gniewnym spojrzeniem. Gdybym wcześniej jej posłuchał i w stosownym czasie zrobił to, o co wielokrotnie mnie prosiła, siedziałbym teraz razem z nią na tarasie, jadł pyszne śniadanie i obserwował wzburzone morze, ciesząc się wolnością. Tymczasem ocknąłem się w bagażniku samochodu podskakującego na wybojach. W bocznej kieszeni kurtki namacałem paczkę papierosów. Zapaliłem jednego. Końcówka szluga żarzyła się ostrym blaskiem. Samochód zwolnił, stanął, silnik zgasł. Rozbrzmiały kroki. Przed uniesioną klapą zamajaczyła ludzka sylwetka.

– Wsiadaj – rozkazał obcy głos.

Wygramoliłem się z bagażnika, wygładziłem spodnie i kurtkę. Następnie przygryzłem końcówkę papierosa i spojrzałem w oczy kobiecie, która mnie przywołała. Dostrzegłem w nich strach i nadzieję. Wydmuchnąłem dym w jej kierunku. Zakasłała, machnęła ręką i cofnęła się o krok, nie spuszczając ze mnie wzroku. Była ruda i piegowata, a zieleń jej oczu przywodziła na myśl kolor morza, nad którym leżał mój dom.

– Fanty – powiedziałem.

Skinęła głową i wręczyła mi saszetkę z czarnej skóry. W środku znalazłem tabliczkę gorzkiej czekolady, cygaro i woreczek strunowy z ludzkimi prochami.

– Ktoś bliski? – zapytałem.

– Ojciec – odparła po chwili wahania.

Wyplułem papierosa na ziemię, zdeptałem go obcasem i sięgnąłem po cygaro. Dobrze leżało w ustach. Paznokciem obciąłem kapturek, śliną strzyknąłem na końcówkę, która natychmiast zaczęła się żarzyć. Sprawdziłem ciąg – był doskonały. Białe obłoki dymu przesłoniły twarz kobiety. Poczułem smak kawy i miodu.

– Na co zmarł?

Nie odpowiedziała od razu. Najpierw wsadziła dłonie do kieszeni dzinsowej kurtki i wyraźnie się naburmuszyła. Zaciągnąłem się cygarem i powiodłem wokół wzrokiem. Staliśmy nad kanałem, wzdłuż którego, po obu stronach, ciągnęły się kamienice. Cyfrowy zegar wiszący nad wejściem do pobliskiego banku wskazywał piątą nad ranem. Niedaleko widać było most i nagiego faceta balansującego na linie rozpiętej wysoko nad spokojnym nurtem rzeki. Dopiero po chwili zrozumiałem, że spoglądam na rzeźbę.

– Już tu kiedyś byłem.

Zniecierpliwione spojrzenie dziewczyny nie pozostawiało wątpliwości, że nie jest zainteresowana moją przeszłością.

– Mój ojciec zmarł na raka – powiedziała.

Wypuściłem kłąb dymu, strzepnąłem popiół i wzruszyłem lekceważąco ramionami, co musiało ją urazić, gdyż poczerwieniała na twarzy, wyjęła ręce z kieszeni, zacisnęła pięści, rozprostowała je, ponownie zacisnęła, na koniec zaś przygryzła dolną wargę, jakby chciała powstrzymać się przed wygłoszeniem nienawistnej riposty, na którą niewątpliwie zasłużyłem.

– Gdzie ich znajdę?

– W tamtym lokalu – Wskazała drzwi, na których wisiła tabliczka z napisem „Nieczyste z powodu remontu”.

Schowałem czekoladę i woreczek z prochami do wewnętrznej kieszeni kurtki, poluzowałem rewolwery w olstrach i upewniwszy się, że cygaro zadomowiło się w lewym kąciaku moich ust, zbliżyłem się do schodów prowadzących do klubu. Zanim po nich zszedłem, spytałem jak ma na imię.

– Patrycja – skłamała.

\*

Nadzwyczajna dziewczyna z pospolitym motywem, sześciu liczących się na mieście mężczyzn z bogatą kartoteką, imprezujących w klubie należącym do jednego z nich, i dwa rewolwery w rękach istoty uchodzącej za demona. Wynik tego równania był łatwy do odgadnięcia. Nikt postronny, nawet Patrycja, nie usłyszał wystrzałów rozbrzmiewających w cuchnącej wymiocinami sali. Nie na darmo dawno temu nazywano mnie Panem od Kluczy i Zamków. Władcą Ciszy i Pustych Ulic. Szafarzem Zapomnienia.

Zdmuchnąłem dym z obu luf, zakręciłem młynka rewolwerami i popatrzyłem z zadumą na swoje dzieło.

Zwłoki gangsterów stygły w kałużach krwi, otoczone niebieską poświatą, która migotała jak zepsuta jarzeniówka. W powietrzu unosił się zapach prochu. Położyłem stygnącą broń na stole, obok postawiłem popękaną popielniczkę, do której odłożyłem cygaro. Potem usiadłem na krześle i wyjąłem z kieszeni tabliczkę czekolady. Zerwałem opakowanie, odwinąłem sreberko i ła- małem trzy kostki. Zanurzyłem je w niebieskiej poświacie, która spływała z najbliższych zwłok, przechodząc przemianę w substancję zbliżoną wyglądem do gęstej farby. Niebawem poświata zniknęła, a niebieska plama, która zajęła jej miejsce, nabrzmiała, upodabniając się do gąsienicy. Następnie odpęzła w kierunku baru, kreśląc na podłodze śluzowaty ślad, pełen zawijasów, przerw i mętnych symboli. Trzy kostki czekolady, ociekające resztkami ludzkiej duszy i posypane prochami ojca Patrycji, powędrowały do moich ust.

Zamknąłem oczy, skupiając uwagę na piorunującej mieszance goryczy i zalatującej zgnilizną słodkości.

\*

Patrycja czekała obok samochodu. Z wnętrza otwartego bagażnika bił zielonkawy blask portalu.

– Nie żyją?

– Co do jednego – odpartem, unosząc zakrwawione dłonie.

Dziewczyna obnażyła zęby w szerokim uśmiechu. Wsunęła pomiędzy nie papierosa, którego chwilę wcześniej wyjęła ze srebrnej papierošnicy, po czym przypaliła go zapalniczką wygrzebaną z tylnej kieszeni obcisłych džinsów.

Przez chwilę, bardzo krótką chwilę chciałem powiedzieć jej prawdę. Źe „demon” to tylko słowo. Wierzchołek mitologii wzniesionej na prastarych kłamstwach. Źe wzorem moich braci i sióstr mogłem uwolnić się od brzemienia przegranej wojny, którą dawno temu stoczyliśmy z osobami odpowiedzialnymi za ewolucję różnych gatunków człowieka, ale w odróżnieniu od Celise, mojej ukochanej, nie zrobiłem tego, bo nie byłem gotowy na potworne samookaleczenie, jakie się z tym wiąże. Chciałem, by Patrycja zrozumiała, że w rzeczywistości nie jestem tym, za kogo mnie bierze, że mam życie, do którego chcę wrócić i że masakra, jaką urządziłem w tamtym lokalu, wcale mnie nie definiuje. Chciałem dać jej szansę, krzyknąć, żeby brała nogi za pas, zaoszczędzić jej cierpienia. Jednak górę wzięła narzucona mi natura.

Doskoczywszy do Patrycji, chwyciłem ją za gardło. Potem sięgnąłem umysłem w głąb jej duszy, do miejsca, w którym u zwierząt z gatunku *Homo sapiens sapiens* kwitną – nic nie znaczące dla istot mojego pokroju – prawa do tego i owego. Zacisnąłem wyjątkowo paskudną myśl wokół ich więzki i mocno szarpnąłem. Raz, drugi, trzeci. W oczach dziewczyny rozbłysło przerażenie zaprawione błagalną nutą. Cierpienie, którego doświadczała, było gordyjskim splotem fizycznego i metafizycznego bólu. Zanim ją puściłem, powiedziałem:

– Do spętania mej woli powinnaś użyć prochów po człowieku spalonym żywcem.

Osunęła się na kolana i zaczęła szlochać. Zabrałem jej papierošnicę i zapalniczkę. Następnie podszedłem do samochodu i popatrzyłem na portal. Przeniosłem wzrok na zasnuęte chmurami niebo i jaśniejący w oddali horyzont. Oblizałem usta. Przełknąłem ślinę. Dusza Patrycji była pełna snów o mafijnej potędze. I chociaż smakowała wybornie, pragnąłem czegoś zupełnie innego. Czegoś, co mógłbym mieć, gdybym w porę posłuchał Celise. Pragnąłem bezproblemowej codzienności w moim domu nad brzegiem morza. Nawet za cenę samookaleczenia.

Dlatego nie oglądając się za siebie, wskoczyłem do bagażnika, po czym z dymiącym szlugiem w kąciku ust pomknąłem na spotkanie z moim dotychczasowym życiem.

## Maciej Sznurkowski – Walet kier

Tamtego listopadowego wieczora to milczące krople deszczu zagoniły mnie z Marszałkowskiej do przejścia pod rondem Dmowskiego. Szczerze mówiąc, nigdy bym nie przypuszczał, że umrę w takim miejscu. Nigdy nawet nie odważyłem się poważnie myśleć o własnej śmierci. To chyba nic dziwnego, skoro dożyłem ledwie szesnastu lat. Ze swojego życia pamiętam coraz mniej, ale tamtą chwilę widzę wyraźnie. Czasem opowiadam o niej mozym zgromadzonym wokół mnie, choć z uwagi na to, że jestem tylko zwykłym giermkim, rzadko występuję do końca.

Miałem spotkać się wtedy z Anią – szkolną pięknoscią – pod Rotundą. Kwadrans przed umówioną godziną wysiadłem z tramwaju i, zaskoczony przez nagłą ulewę, szybko schowałem się w najbliższym wejściu do podziemi. Nie lubiłem tego miejsca. Śmierdziało moczem i wyschniętymi bajaderkami z lichych piekarni. Na szczęście wyjście, za którym prawdopodobnie mokiła Ania, było tuż obok. Biegąc tam, zestresowany nadchodzącą randką, wpadłem na podstarzałego mężczyznę, stojącego na rogu i pokazującego jakieś karciane sztuczki kilkorgu obcokrajowcom. Głośno przeklął, kiedy karty wypadły mu z rąk i rozsypały się po zabłoconej posadzce. Sekundę później zobaczył moją przepaszającą minę i nagle uśmiechnął się szeroko, pokazując poźółtkłe zęby. Kiedy rzuciłem się, by pomóc zbierać mu karty, poklepał mnie po ramieniu i powiedział:

– Spotkanie z dziewczuszką, co, chłopcze?

Mruknąłem coś niewyraźnego w odpowiedzi. Wcale a wcale nie wzbudził mojej sympatii. Było w nim coś... niepokojącego. Jego oczy ruszały się chaotycznie w dziwnych kierunkach niczym kulki w stole do pinballa. Chciałem jak najszybciej zebrać całą talię z ziemi i wyjść na powierzchnię, choćbym miał tam zmoknąć jak pies. Ostatnią kartą, jaką podniosłem, był walet kier. Muszę przyznać, że rysunki figur na kartach były przepiękne. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego wzoru. Walet miał twarz młodego chłopaka z lekkim rumieńcem i rozwichrzoną czupryną. Gdybym przyjrzał się mu dłużej, może coś by mnie tknęło i zwałbym stamtąd. Mężczyzna wyciągnął mi jednak waleta spomiędzy palców, i, prostując się, wtasował go w resztę talii.

– Darmowy pokaz, specjalnie dla ciebie.

Tak, miałem kłopoty z asertywnością. Nie odważyłem się wtedy po prostu powiedzieć, że niestety, jestem zajęty i muszę iść. Stałem więc i patrzyłem, jak karty wyskakują z jednej pomarszczonej dłoni, wirują w powietrzu, nagle zmieniają tor lotu i po kolei upadają na drugiej. To było coś. Zapomniałem o otoczeniu i wpatrywałem się w kolejne sztuczki. Karty wydawały się żyć i słuchać się poleceń starca na głos wypowiadającego komendy. „Szeregiem do kieszeni”, „Obrot w powietrzu i za damą pik”, „Brawo, teraz króle na wierzch”. Pokaz trwał chyba kilka minut. Otrząsnąłem się z amoku dopiero wtedy, gdy Dżoker (tak w myślach nazwałem mężczyznę) schował wszystkie karty do pudełka i wyciągnął je do mnie.

– Proszę, są teraz twoje – Kiedy zobaczył, że nie reaguję, włożył mi je do przedniej kieszeni kurtki. – Mam wiele innych talii. No, biegnij do tej swojej dziewczyny!

Otrząsnąłem się i pobiegłem na górę. Ani tam nie było. Bardzo chciałem uwierzyć, że może się spóźni, może stanęła w korku na Śródmieściu, może już biegnie do mnie z przystanku... Nie. Stałem w deszczu jeszcze kilka minut, po czym schowałem się pod dach najbliższej odzieżowej



sieciówki i sięgnąłem do kieszeni spodni po telefon. Chciałem sprawdzić, czy nie ma żadnych nieodebranych połączeń, ale... wyciągnąłem zamiast tego talię kart. Mógłbym przysiąc, że Dżoker schował ją gdzie indziej. Była naprawdę piękna. Nie żaden powielany od dziesiątek lat wzór – o nie, te karty wyglądały na ręcznie malowane. Wysunąłem je z pudełka. Wszystkie skierowane rewersem do góry, chociaż... Nie, jeden walet wyłamał się z szyku i patrzył na mnie. Patrzył się z przerażeniem. Moje ciało upadło na mokre kamienie.

## Krzysztof Baranowski – Pragnienie

Krótko po północy skończyła się wódka.

Gorzej.

Zabrakło wódki.

Że się skończy było wiadome od początku. Że może zabraknąć dopiero od momentu, kiedy, tuż po zapadnięciu zmroku, pojawił się Witek i zapytał czy może przenocować. Takiej prośbie się nie odmawia.

Nie kumplowi.

Nie w Toruniu.

Nie po zmroku.

Ale wódki zabrakło...

- Co robimy?

Pytanie było retoryczne. „Paluszka”, ostatni w mieście całodobowy monopol, zamknięto w 2046. Trzy lata temu. No, nie do końca zamknięto. Pancerne drzwi wciąż wisiały na resztkach zawiasów. Przez wybitą w ścianie dziurę wciąż widać było stojące na półkach butelki z alkoholem. I pozbawione krwi, zmumifikowane zwłoki właściciela tkwiące bez ruchu za ladą.

Najczęściej bez ruchu.

Najczęściej za ladą.

Nie, do „Paluszka” nie chodziło się nawet w dzień. A co dopiero w nocy.

Tak więc pytanie było naprawdę retoryczne. Ale Witek, który (słusznie zresztą) czuł się winny zaistniałej sytuacji, postanowił odpowiedzieć.

- Mam w domu litra „żubrówki”.

Spojrzeliliśmy z Michałem na siebie. Witek mieszkał przy Dworcu Wschodnim. Za dnia – całkiem blisko. Ale nocą? Nocą znacznie zwiększała się odległość. I jeszcze znacznie zwiększało się ryzyko. Zmniejszało się wprawdzie prawdopodobieństwo dotarcia na miejsce, ale to akurat zmniejszenie było raczej mało motywujące.

- I cztery sześciopaki „Żubra” w lodówce.

O! To była motywacja.

Zaczęliśmy zakładać buty.

Przemykaliśmy przez park na „Skarpie”. Za dnia – idealne miejsce do rodzinnych spacerów. Ale nocą? Kiedy za każdym drzewem...

Zagapiłem się na te cholerne drzewa i wlałem na grabie. Nie zdążyłem się uchylić i dostałem trzonkiem prosto w twarz.

„Skąd tu grabie?” pomyślałem padając i łapiąc się za nos. Dziwne.

Opadający bezgłośnie z nieba wampir nie zdążył wyhamować i nadział się na sterczący wciąż pionowo drewniany trzonek. I najwyraźniej też był zdziwiony.

Parzył na mnie przez chwilę, a potem wybuchnął wesołym, pomarańczowym płomieniem. I płonął tak sobie, wydzielając kłęby śmierdzącego dymu. I wrzeszcząc przeraźliwie. Chłopaki pomogli mi pozierać się z ziemi i staliśmy w milczeniu, oglądając to niesamowite widowisko.

Pierwszy odezwał się Michał:

- Ogień. Smród. Hałas. Może być niedobrze.

Gdzieś za naszymi plecami, pomiędzy blokami, rozległo się wilcze wycie. I nagle dotarło do nas jak jasno świeci księżyc. Pełnia.

- Już jest niedobrze! Chodu!

Ruszyliśmy. Biegiem. Prawie. Bo wprawdzie strach dodawał nam skrzydeł, to wypity wcześniej alkohol natychmiast je podcinał. Potykaliśmy się co chwilę i sapaliśmy coraz głośniej.

- Byle za ten blok – wydyszał Witek. – Może się gdzieś schowamy.

Pomysł w sumie nie był najgorszy. I być może udałoby się go zrealizować, gdyby zza rogu wspomnianego bloku nie wyszło kilku zombi.

- Aaaaa! - Zawołali radośnie na nasz widok i ruszyli w naszym kierunku. Niezbyt może szybko, ale raczej stanowczo.

Za nami wilkołaki, przed nami zombie. Jesteśmy w czarnej dupie. A na dodatek, z tego wszystkiego całkowicie wytrzeźwieliśmy.

- Panowie! Na drzewa! – Krzyknął Michał.

W życiu bym nie pomyślał, że jestem w stanie tak szybko wdrapać się po prawie całkowicie gładkim pniu. W życiu bym nie pomyślał, że w ogóle jestem w stanie wdrapać się na drzewo. Ledwo zdążyliśmy się w miarę pewnie usadowić na gałęziach, gdy pod naszymi stopami przemknęła wilcza wataha. Przemknęła, bo gdy tylko wilkołaki zobaczyły zombi, natychmiast straciły zainteresowanie nami i pobiegły ku nim. Zombie rzuciły się do niemrawej ucieczki i po chwili zniknęły za rogiem, zza którego wyszły. Po kolejnej chwili zniknęły za nim również wilkołaki. A po kolejnej zza bloku dobiegły nas dźwięki, których nie podejmę się opisać. Wciąż mdli mnie na samo wspomnienie.

- Wiecie jakie są wilkołaki... - wychrypiął Michał ze swojego drzewa.

- Ja, na przykład, nie wiem. – Odpowiedziałem ze swojego.

- Nie przepadają za świeżym mięsem. Wolą padlinę. – Wyjaśnił.

- Szczególnie jeśli przed posiłkiem można z nią pobawić. – Dodał po krótkiej przerwie.

- To może chodźmy dalej. – Zaproponował Witek. Siedział na młodej jeszcze brzoźce, która pod jego ciężarem kiwała się na wszystkie strony. – Odgłosy tej jatki mrozą mi krew w żyłach.

- Ssssssuper! – Ucieszył się ktoś skryty w konarach czwartego drzewa. – Noc taka ciepła, w sssssam raz na zimnego drinka!

Nawet nie wiem, jak udało nam się dotrzeć do mieszkania Witka...

- Co to się porobiło, proszę was. – Mówił Witek, po raz kolejny napełniając kieliszki. – Kiedyś nie było tego całego tałatajstwa. Jeśli człowiek szedł nocą przez miasto, mógł najwyżej po ryju dostać.

Wypiliśmy. Popchnęliśmy piwem.

- Podobno to wiara. – Wyjaśnił Michał. Nie do końca jakby wyjaśnił.

- No tak. – Kontynuował widząc nasze pytające spojrzenia. – One karmią się wiarą. Znaczą – krwią i mięsem też, ale głównie to jednak wiarą.

- To niby wcześniej ludzie w to wszystko nie wierzyli? W te wampiry, wilkołaki, strzygi? I całą resztę?

- Wierzyć, wierzyli. Ale nie na taką skalę. Wszystko zmieniło się po tych wszystkich reformach oświaty na początku wieku.

- A wcześniej?

- Wcześniej większość ludzi umiała czytać.